

MIŁOŚĆ I DOBROĆ

M.J. — Od jakiej roli zaczęła Pani swoją sceniczną karierę i jak Pani dzisiaj wspomina ten występ?

I.E. — Domyślałam się, że młodych ludzi zainteresują przede wszystkim początki. Jakie były? Czy dobre? Nie tyle więc może rola, czy pierwsze występy, ale atmosfera, jaka temu „wchodzeniu na scenę” towarzyszyła. Ja wspominam ją dobrze. I choć nie lubię bawić się we wspominki — zachowuję tamten początkowy okres we wdzięcznej pamięci. To był dla mnie okres szczęśliwy. Otoczona byłam życzliwymi, przyjaznymi ludźmi a to bardzo ważne. Dużo więc wzruszeń, emocji, lecz nade wszystko życzliwość ludzka i dobroć. Mogłabym wyśpiewać panegiryk niebawala dla moich profesorów (Zelwerowicz, Brydziński, Stanisławski, Horzyca, Moszyński), dla moich późniejszych dyrektorów: Zelwerowicz, Horzyca, Solski. Byli to ludzie pełni szlachetności i wszyscy mieli prawdziwy talent.

M.J. — Układy koleżeńskie też chyba się liczyły w tworzeniu takiej pełnej ciepła atmosfery?

I.E. — Koleżanki i kolegów także miałam wspaniałych. To dzięki swoim wewnętrznym wartościom, nazwiska ich przetrwają w historii naszego teatru: Stanisława Wysocka, Maria Dułęba, Irena Solska, która tuż przed wybuchem wojny ostatni raz zagrała w „Balladynie” w Teatrze Narodowym. Spektakl ten nazwano gwiazdzistym...

M.J. — Pewnie ze względu na znakomitą obsadę?

I.E. — Tak. W repertuarze klasycznym zresztą grali zawsze najwięksi aktorzy warszawscy razem. Dzisiaj brak mi czasem takiego ustawienia ról... Podkreślam raz jeszcze, że wszyscy ci najwięksi polscy aktorzy, karmazynowi ludzie jak ich nazywam, byli ludźmi o wielkich sercach. Młodzi czytelnicy Waszego pisma dyskutując nad oglądanymi spektaklami mają okazję przyglądać się tylko grze aktora, chcą jednak by wiedzieli, że prawdziwa wielkość nie wstydzi się dobroci. Wspomnianego już Wojciecha Brydzińskiego — znakomitego Hamleta, Gustawa-Konrada z „Dziadów”, hrabiego Henryka w „Nieboskiej Komedii”, niezapomnianego odtwórcę wielu innych, znakomitych ról, cechowała tak ujmująca dobroć, że można

Miłośnicy teatru nazwisko Ireny Eichlerówny łączą z wieloma znakomitymi kreacjami aktorskimi. Dała się poznać zarówno w klasycznym jak i współczesnym repertuarze wnosząc zawsze swój własny, odrębny styl gry aktorskiej. O Irenie Eichlerównie pisało wielu wybitnych znawców polskiego teatru starając się scharakteryzować najwłaściwiej jej aktorską osobowość. Trudno jednak znaleźć pełny jej portret. W każdej roli inna i w każdej porywająca.

Występowała w Wilnie, Krakowie, Lwowie i w Warszawie, podczas II wojny światowej m.in. w Paryżu i Rio de Janeiro. Od roku 1949 w Łodzi, Poznaniu i w Warszawie, laureatka nagrody ministra kultury i sztuki w roku 1965. Role tytułowe: w „Marii Tudor” — W. Hugo, w „Fedrze” — J. Racine’a, w „Matce Courage” — B. Brechta, Pani Warren — w „Profesji pani Warren” — G. B. Shawa, Szambelanowa — w „Panu Jowialskim” — A. Fredry. Nie sposób wymienić wszystkich ról, granych przez tę wybitną artystkę. Czytelnicy oglądający spektakle telewizyjne, pamiętają m.in. kreację Ireny Eichlerówny w sztuce Sofoklesa: „Król Edyp”, ostatnio zaś, na scenie Teatru Małego w Warszawie cieszy się dużym powodzeniem jako Orbanowa, główna postać kobieca we współczesnej sztuce węgierskiego pisarza Istvana Urkeny: „Zabawa w koty”.



LUDZIE CIEKAWI

go było porównać tylko ze św. Franciszkiem z Asyżu.

M.J. — Często zdarzało się Pani jeździć po kraju z występami i jakie wrażenia z takich „podróży” Pani przywiozła?

I.E. — Jeździliśmy wiele, z „Zalotami” B. Shawa, z „Kochanym kłamacą”, z korespondencją Chopina (z pianistą Cezarym Owerkowiczem). Obawiam się, że ta dawno dziś wydorosła młodzież, która nas wówczas oglądała, nie entuzjazmuje się teatrem tak, jak kiedyś.

M.J. — Entuzjazm to przecież przywilej młodości.

I.E. — Powiem raczej, że inny jest entuzjazm widza, a inny aktora. I jeśli w pierwszym przypadku mija dość szybko, to u aktora powinien trwać jak najdłużej.

M.J. — Niezbyt często mamy okazję słuchać Panią w teatrze radiowym. Czyżby Pani traktowała ten teatr ubocznie?

I.E. — Bardzo sobie cenię współpracę z radiem. Jako odbiorca wolę nawet radio niż telewizję, a to, że nie występuję zbyt często w słuchowiskach radiowych, jest raczej sprawą braku czasu.

M.J. — W sztuce „Zabawa w koty” stworzyła Pani wspaniałą postać kobiety, dla której przez całe życie sprawą najważniejszą była miłość. Jak odbierają tę sztukę widzowie?

I.E. — Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Stosunek do tak ważnej sprawy jak miłość jest u każdego inny. „Zabawa w koty” podoba się widzom, graliśmy je już 200 razy, przychodzi na nie podobno dużo młodzieży, być może po to tylko by podejrzeć, jak to jest z tym uczuciem u starszych, ale...

M.J. — Ale...

I.E. — Skłonna jestem powątpiewać, czy ludzie dzisiaj potrafią głęboko kochać i czy chcą być dobrzy.

M.J. — Sztuka tworzy takie wzorcowe charaktery. Na przykład „Matka Courage”, którą Pani tak znakomicie odtworzyła, podkreślając w tej postaci obok instynktu macierzyńskiego, dojrzałość uczuciową, jaka powinna uzewnętrzniać się w najtrudniejszych warunkach. Dopóki więc nie słabnie oddziaływanie poprzez sztukę na ludzkie charaktery, sądzę, że nie wolno tracić nadziei. Dziękując Pani za tę rozmowę pragnę podkreślić ten właśnie, optymistyczny akcent.

Rozmawiała: **MARIA JANKOWSKA**

Fot. **L. Myszkowski**